Rozdział 4.
Spadająca gwiazda

Każdy dzień wyrzeźbiony jest małymi upadkami.
Co wzniesie mnie nadzieja płona,
to zaraz upadam niczym rzucony kamień.
Chwila blasku, później tylko czerń.
Zbyt ciężki mój krok, aby do światła dosięgnąć.
Zbyt krótkie moje oko, aby dojrzeć jasności.
Właśnie spadła gwiazda, która ogonem zamiotła pół nieba…
Nawet nie zdążyłam pomyśleć marzenia.
Teraz już tylko ciemność widzę.
Ostatni to dech starego życia.

Ślub był bardzo skromny, nie taki jak to zazwyczaj hucznie obchodzi się na wsi. Była tylko najbliższa rodzina mojego narzeczonego, czyli Anna i babcia Zofia. Ceremonia była bardzo skrócona i ograniczała się tylko do prostej formuły przysięgi. Miałam na sobie moją sukienkę, której nie ściągałam od kilku dni. Na głowie miałam upleciony przez babkę wianek z polnych kwiatów: dzwonków, żółtych mleczy i stokrotek. Benedykt zaskoczył mnie pozytywnie. Wyglądał bardzo schludnie, ściął włosy i ogolił zarost, co uczyniło go znośnym w odbiorze. Moim ideałem urody był jednak typ, jaki prezentował Robert. I to o nim myślałam podczas ceremonii. Myliłam słowa, bo przez cały czas miałam przed oczyma duszy widok ślubnej pary, stojącej przed tym samym ołtarzem, przed którym teraz się znajdowałam. To tutaj Robert przysiągł swojej żonie wieczną miłość.
Pocałunek Benedykta – jakże skromny, bo w oba moje blade policzki zamiast w usta – przemknął prawie niezauważalnie. Jego wspierające mnie ramię było jedynym bodźcem, który wyholował mnie z kaplicy na upalne, suche powietrze rozpoczynającego się lata. Prawie nie zwracałam uwagi na towarzyszące nam Annę i babcię Zofię, zupełnie jakbym zamknęła się w swoim wnętrzu na zawsze.

Po wszystkim wróciliśmy do domu na odsłoniętym, rozchybotanym wozie, co tłukł się po koleinach nierównej drogi. Jazda po wertepach sprawiła, że znów dostałam mdłości. Po drodze kilka razy wymiotowałam, a za każdym razem to „mój chłop" – nie potrafiłam go nazywać „mężem" – pomagał mi zsiadać i wsiadać.
W chacie zjedliśmy zwyczajny obiad, taki jak na co dzień jadałam w dworku – rosół z ziemniakami – a później wszyscy wrócili do swoich zajęć. Zostałam w chacie sama. Obarczona nadmiarem złych myśli, zaczęłam analizować to, co wydarzyło się zaledwie ponad godzinę temu.

Byłam teraz żoną chłopa. Na palcu, zamiast złotej obrączki wykonanej starannie przez jubilera, miałam pierścionek z metalu, który wykuł prawdopodobnie jakiś kowal. Ta dziwna obrączka była zbyt luźna, więc miałam nadzieję, że niebawem ją zgubię, bo była bardzo brzydka.

Z największym przestrachem oczekiwałam wieczora. To miała być nasza noc poślubna. *„Czy Benedykt okaże się na tyle grubiański, że siłą zmusi mnie do zbliżenia?"* Od tego wieczora mieliśmy wspólnie dzielić pokój, dlatego Anna wyprowadziła się do głównej izby. Jej syn wstawił tam dodatkowe łóżko, które skądś przywiózł wozem. Mieliśmy dzielić wspólnie jedno łoże – małżeńskie. Obok niego zaś pojawiła się, o zgrozo, starannie rzeźbiona w drewnie kołyska dla dziecka. Gdy na nią spoglądałam, przypominałam sobie, że niebawem urodzę w mękach dziecko mężczyzny, który mnie porzucił.

Z rozważań nad tamtym i przyszłym życiem wyrwało mnie wejście Walczaka do izby głównej. Gdy ujrzał mnie, pochyloną nad bezsensowną czynnością, jaką było dla mnie łupanie grochu, zatrzymał się na chwilę i zdjąwszy swoją codzienną czapkę, ukłonił się nisko.

– Mam dla pani prezent. – Dopiero teraz w ciemnej izbie zdołałam dostrzec, że w rękach trzymał jakieś płócienne zawiniątko. Zbliżył się i położywszy je na stole, rozsupłał pakunek. Wyciągnął z niego spódnice, białe bluzki, luźne halki, biały, haftowany fartuszek, a także chustę na głowę w kolorze czerwieni, z malowanymi biało różami oraz dekoracyjnie ułożonymi listkami i gałązkami. Bardzo spodobała mi się ta chusta, ale chwilę później zdałam sobie sprawę z tego, że teraz to będzie moje codzienne ubranie. Z żalem spojrzałam na swoją błękitną sukienkę i westchnęłam tęsknie do tamtych czasów, gdy w szafie miałam do wyboru dwadzieścia najróżniejszych kreacji, kapeluszy, butów oraz biżuterię.

– Nie podobają się pani? – zapytał cicho mój chłop. Zakłopotanie na jego twarzy w mig zmusiło moje usta do wypowiedzenia odpowiedzi.

– To bardzo ładne rzeczy, dziękuję Benedykcie.

– Starałem się wybrać najładniejsze, ale jeśli się pani nie podobają, to mogę je zwrócić i…

– Nie, to zbyteczne. Jakoś będę musiała przywyknąć do nowego stylu ubierania. – Na widok jego strapionej miny dodałam prędko: – Ale ty się nie przejmuj! To nie twoja wina. Po prostu przywykłam do innych ubrań.

– Rozumiem.

Ukłonił mi się nisko i pozostawiwszy moje nowe odzienie na stole, opuścił pomieszczenie. *„Ciekawe dokąd poszedł? I co będzie wieczorem?"*

Nadszedł wieczór. Anna i babka wyszły na zewnątrz przed dom z zapalonymi świecami. Ja i Benek poszliśmy za nimi. Usiadłyśmy na drewnianej ławeczce, a on stanął przed nami i zaintonował refren jakiejś melodii. Gdy cała rodzina Walczaków zaczęła śpiewać, mimowolnie poczułam zachwyt. Słowa były piękne, a melodia łatwa do zapamiętania, ale jakaś taka melancholijna. A ja znów wróciłam my-

ślami do wspomnień o utraconej miłości. Czułam w tej chwili, że nigdy nikogo już tak nie pokocham. Coś we mnie umierało, a ja stawałam się coraz bardziej sucha, jak kwiat, który więdnie bez braku wody.
Gdy pieśń skończyła się, zaczęli nucić następną. Byłam jakby na uboczu, choć siedziałam razem z nimi. Wszystko to wydawało mi się takie chwilowe, ulotne… jakby senna mara wciąż oplatała mnie swoimi szponami.

Zgasły świece, ucichły śpiewy, w domach pogasły światła, a w miarę jak robiło się coraz ciemniej, mrok zapadał także w mojej duszy.
– *Idziem* spać – oznajmiła Anna. Na jej ramieniu wsparła się babcia, która zaczynała przysypiać.
Benedykt wziął staruszkę pod ramię i zaprowadził prosto do łóżka.
Anna postawiła na piecu do gotowania garnek z wodą.
– Tutaj masz wodę, możesz się wykąpać przed nocą poślubną.
To co powiedziała, oznaczało, że oczekuje, iż tej nocy zrobię z jej synem to samo, co tak chętnie robiłam z utraconym ukochanym.
– Matko! – Benedykt zmierzył surowym spojrzeniem swoją rodzicielkę, po czym wyszedł. Wyjrzałam przez okno, aby zobaczyć, dokąd poszedł.
– On się zawsze myje w rzece – wyjaśniła mi Anna, po czym wzięła drewnianą balię do mycia i zaniosła ją do sypialni małżeńskiej.

Umyłam się, przebrałam w koszulę nocną, którą podarował mi mąż i z przestrachem położyłam się do łóżka. Czuwając przy świecy, pogrążona niemal w zupełnym mroku, czekałam na niego. Obawiałam się najgorszego, czyli chamskiego, agresywnego zachowania, typowego dla prostackich mężczyzn. Zjawił się w pokoju, ubrany w czyste ubranie i na bosaka podszedł w kierunku łoża.
„Boże, teraz się zacznie!" Skuliłam się pod kołdrą i nakryłam po sam nos. Chciałam zrobić barykadę z pierzyny, która nazbyt mocno zaczęła grzać moje ciało.
– Matka chcieli, żebyśmy spali razem. Nie dało inaczej rady jej przekonać. – Wzruszył ramionami zakłopotany.
– Nie szkodzi – udałam, że zupełnie mnie to nie obchodzi. Wyglądało na to, że jednak nie chciał uczynić mi krzywdy. Odetchnęłam z ulgą.

Chwilkę później zmroziło mnie, gdy Benek ściągnął koszulę. I nagle stało się coś dziwnego – mimowolnie poczułam zachwyt nad jego umięśnionym torsem. Nie dałam niczego po sobie poznać, tylko schowałam się głębiej pod kołdrę.
– Dobranoc, żono – powiedział. Ziewnął, a później położył się na swojej połowie łoża. Chwilę później już chrapał. Ja natomiast zachowałam czujność prawie przez całą noc. Byłam przygotowana na każdy przejaw samczej namiętności, który zechciałby gwałtem sięgnąć po moje ciało.

***

Stało się, Anna nagle zagoniła mnie do roboty. To było następnego dnia po ślubie. Przyniosła do izby prześcieradła, jakieś stare łachy i położyła je na stole pod oknem. Po chwili do szmat dołączyły nici i igły do cerowania.
– Czy panienka potrafi cerować? – Przyjrzała mi się z powątpiewaniem. Była pewna, że nie potrafię, i nie myliła się.
– N-nie – zawstydziłam się, jakby właśnie odkryła, że mam na sobie dziurawą bieliznę.
– No! To się nauczy! Nie może przez cały dzień sterczeć przy oknie i gapić się jak sroka w kość!
Zbyłam jej docinki, nie mówiąc ani słowa. To ona była tutaj panią a nie ja. Usiadła obok mnie przy niewielkim stoliku, przy oknie i zaczęła pokazywać, jak się ceruje. Nigdy nie lubiłam haftować, a wszelkie cerowania odzieży wykonywała za mnie służąca! Igły i nici to nie był mój świat, a jednak zmuszono mnie do sięgnięcia po te narzędzia tortur, które zaczęły zadawać moim palcom kłujące ostro ciosy.
– Nie tak! No popatrz! Jucha leci!!! – Wyszarpnęła mi z rąk prześcieradło i prędko poszła do studni wypłukać moją krew w zimnej wodzie. Miałam chwilę czasu, zanim Anna znów zagoni mnie do kontynuowania nauki cerowania. Z mojego palca wciąż leciała krew… Po kilku minutach wróciła do izby niezadowolona.
– Szycia dosyć na dziś! Masz chustkę! Zatamuj te krwawienie! – Podała mi szarawą szmatkę, którą zawinęłam sobie na palcu.
– Może gotowanie pójdzie ci lepiej. – Podparła sobie boki, a przed wyjściem dodała jeszcze: – W końcu każda porządna żona potrafi zrobić zupę!
„Kolejny przytyk? Czy druga szansa?"

– Obierz ziemniaki, marchew i pietruszkę – powiedziała pięć minut później. Wróciła z ogródka za domem, z koszykiem pełnym warzyw. Podała mi jeszcze mały nożyk i garnek.
To było gorsze niż cerowanie! Podczas walki z obieraniem pierwszego ziemniaka zacięłam się kilka razy do krwi.
– Matko Boska! Dziecko, *nadyż* ty z głodu umrzesz i mi syna zamorzysz! – Zajęczała teściowa. – Idźże umyj te ręce i przynieś wiadro wody! Tylko wracaj prędko!
Przystanęłam na progu. Spojrzałam na moje stopy – wciąż miałam na nich moje eleganckie buciki. To było jedyne, co mi pozostało po tamtym życiu. Mój chłop nie wpadł na pomysł, żeby mi kupić buty. Z resztą on chodził w swoich wysokich butach tylko na pola. Anna chodzili boso przez cały czas, tylko babcia miała stopy zawinięte w jakieś skórzane tobołki. Postanowiłam porzucić raz na zawsze chodzenie w butach. W końcu mogły mi się jeszcze kiedyś przydać! Ściągnęłam je i pozostawiłam w kącie za drzwiami. Wyszłam z izby na słoneczne podwórko i powoli, ostrożnie skierowałam swoje kroki ku studni. Gdy szłam, czułam każdy kamyczek, każdy okruszek podwórkowego kurzu! Musiałam uważać, żeby nie stanąć na kurzych odchodach, których wszędzie było pełno… To było obrzydliwe! Ale w końcu dotarłam tam, dokąd zmierzałam.

Studnia, jak studnia. Pamiętałam, jak służące nabierały wody. Wrzuciłam do środka wiaderko, przywiązane sznurkiem do grubej belki, usytuowanej nad wylotem ze studni. Zaczęłam kręcić korbką przymocowaną do belki, żeby wiaderko zjechało na sam dół. Gdy w końcu usłyszałam wyraźne ciapnięcie na powierzchni wody, zajrzałam do środka. Niewielki, jasny punkt świadczył o głębokości tej wodnej otchłani. Uznałam, że już czas na to, aby wyciągnąć wiaderko na powierzchnię…
– Ojej, jakie to ciężkie!
Walczyłam z korbką dobrą chwilę. Niestety nagle zaczęły drżeć mi ręce. Musiałam wypuścić korbkę z rąk. Plusk wody z głębi studni uświadomił mi, że właśnie przegrałam.
– Ja panience pomogę! – usłyszałam głos parobka, który popędził mi z pomocą. Był to ten sam chudziaczek, co go Benedykt niedawno wychłostał batem. Chłopaczek zaczął prędko i dynamicznie kręcić korbką. Ten niepozorny blondynek bez trudu wyciągnął wiaderko ze studni. Później sięgnął po schowany w trawie gliniany kubeczek, stojący obok studni.
– Niech wyciągnie ręce.
Po chwili chlusnęła na moje dłonie lodowata woda, która oblała moje kiecki i bose stopy.
– Jeszcze *jedyn*?
– Nie, już dosyć! Dziękuję Maćko!
– To jeszcze *zaniese*, żeby panienka nie wylała po drodze!
Wytarłam dłonie do jednej ze spodnich halek, po czym ruszyłam za dzielnym chłopaczkiem.
– Mnie dalej wnijść nie wolno – rzekł, zatrzymawszy się na progu domu.
– Rozumiem. Dziękuję za pomoc.
Ukłonił mi się bardzo nisko, zupełnie tak, jakby miał zaraz złamać się wpół. A ja wzięłam ciężkie wiadro do ręki i weszłam do środka.

Z ubłoconymi, bosymi stopami stanęłam w izbie przy piecu, gdzie Anna właśnie wrzucała warzywa do gotującej się wody.
– Jeszcze *słoniny* trzeba! Zapomniała z wędzarni wziąć!
Popędziła przez podwórko w kierunku szopy, gdzie stał wędzak. Po chwili przyniosła solidny kawał białoróżowej, solonej słoniny.
– Zupa musi mieć tłuszcz i warzywa, a do tego jeszcze dobrze jest co zielonego dać. Koper, pietruszka, lubczyk… – mówiła, urywając po trochu zasuszone nad piecem ciemnozielone badyle, oprawione zaschniętymi liśćmi.
– Pięknie pachnie – odważyłam się rzec. Walczakowa lekko się uśmiechnęła, po czym prędko zjadliwie rzuciła:
– Panienka to się pewno takiej nigdy nie nauczy gotować, bo to stary przepis w rodzinie podawany.
Spuściłam głowę, bo nie śmiałam zripostować jej krytyki. Ona tutaj rządziła i na każdym kroku starała mi się o tym przypominać. Czy stawianie oporu miało jakiś

sens? Żadnego! Dlatego postanowiłam niczym śnięta ryba popłynąć z nurtem tej rwącej rzeki.

Tego wieczora Benedykt wrócił do domu bardzo zmęczony pracą na polach uprawnych. Umył się w rzece i półnagi wszedł do sypialni, gdy już leżałam w łóżku. Tym razem zawiesiłam oko na jego umięśnionym brzuchu, porośniętym jasnym zarostem. Zawsze sądziłam, że chłopi są grubi i niezgrabni, a teraz gdy zaczęłam porównywać chude ciałko Roberta i dobrze zbudowanego Benedykta, ten drugi zyskał w moich oczach.
– Matka dali ci dużo pracy dzisiaj? – zapytał, gdy usiadł na łóżku tyłem do mnie, aby ściągnąć wysokie buty, których czasem używał w gospodarstwie lub do pracy w polu. Zauważyłam, że były dla niego niezwykle cenne, gdyż po każdym użyciu pastował je łojem, żeby się nie zniszczyły.
Pod gładką warstwą skóry jego pleców i rąk zauważyłam drganie rozbudowanych ciężką pracą mięśni. Nic dziwnego, że wtedy, tam na polach uniósł powóz tak, jakby był lekki niczym kawałek suchego drewna.
– Uczyła mnie, jak mam cerować i gotować zupę.
– Udało się? – Zerknął na mnie przez ramię.
– Pocięłam sobie ręce i pokłułam palce.
Wstał prędko i kazał mi pokazać odniesione w boju rany. Skrzywił się, gdy ujrzał zadraśnięcia i zaczerwienienia.
– Powoli się nauczę – rzekłam obojętnie, a później nakryłam się szczelniej kołdrą i zamknęłam oczy. Dałam mu zrozumienia, że już nie mam ochoty na rozmowę.
– Dobranoc, Wiktorio – wymówił moje imię tak czule, że skusił mnie do otwarcia moich powiek. Zobaczyłam jedynie ciemność, a w niej dostrzegłam, jak prędko się przebiera, po czym ubrany w długą koszulę kładzie się do łóżka.

Nie mogłam zasnąć przez kilka godzin, bo wciąż przeżywałam mój wewnętrzny koszmar. Fala wspomnień dobrych i złych zderzyła się we mnie na nowo, aby otworzyć stare rany. Jeszcze tydzień temu mieszkałam z moją rodziną i nie spodziewałam się tego, co miało mnie spotkać. Teraz moje życie było całkiem inne, niemal uczyłam się go na nowo. Obok leżał mój chłop, który traktował mnie z szacunkiem.
Poczułam się nagle taka samotna, że zapragnęłam, aby mnie przytulił. Tak jak wtedy, gdy niósł mnie po raz pierwszy do swojej chaty. Niestety chrapał smacznie i nic nie wskazywało na to, że i on chciałby to uczynić. Później resztę świata przysłoniły mi myśli o Robercie, aż w końcu skonana zasnęłam prawie już nad ranem.

Minął kolejny dzień pełen nowych doświadczeń i trudów. Anna nauczyła mnie kilku nowych ściegów, oraz pokazała, które zioła są na jakie dolegliwości. Traktowała mnie z dystansem, ale nie pomiatała mną. Babcia Zofia to dotrzymywała nam towarzystwa, to wychodziła. Czasem miałam wrażenie, że żyje w swoim

własnym świecie, dyskutując z samą sobą lub ze zmarłym mężem. Staruszka potrafiła wyplatać kosze z wikliny i w ten sposób dorabiała sobie, sprzedając je sąsiadom lub kupcom, którzy następnie sprzedawali je na targach lub w swoich sklepikach w mieście. Dziwne to było życie, pełne rozmaitych sprawunków i czynności, a dzień mijał przy tym bardzo szybko.

Tego wieczora weszłam do pokoju jako druga. Benedykt właśnie ściągał z siebie koszulę. Weszłam do środka w moim nowym ubraniu, które stanowiły teraz dla mnie wiejskie fatałaszki – biała bluzka i spódnica z halką – i zatrzymałam się w pół kroku.

– Wiktorio. – Zbliżył się do mnie. – Czy matka nienazbyt obarcza cię pracą? – Troska, malująca się w jego błękitnych oczach, rozczuliła mnie.

– Nie – odwróciłam wzrok od jego półobnażonego ciała, które przyciągało mnie do siebie mocniej z każdym wieczorem.

– Wyjdę, abyś mogła się przebrać. – Położył swoją dłoń na moim ramieniu. – Dobrze się czujesz? Cała drżysz.

Pozwoliłam mu dotknąć mojej twarzy, aby mógł sprawdzić, czy mam gorączkę.

– Jestem tylko przemęczona.

– Wiem, to dla ciebie trudne. – Spojrzał wyrozumiale, a później, jakby czytał w moich myślach, objął mnie i przytulił czule. – Z czasem będzie coraz lepiej. Wszystko pomału się ułoży. – Moje ręce jakoś tak same powędrowały do jego pleców. Było mi dobrze w ciągu tej krótkiej chwili – w końcu poczułam się bezpieczna. Uniosłam swoją głowę ku górze i okazało się, że moje usta znajdują się kilka centymetrów od jego warg. Wtedy po raz pierwszy mnie pocałował. Reakcja była natychmiastowa.

Szybko uwolniłam się z jego rąk i odepchnęłam je, gdy znów spróbowały mnie objąć.

– Zostaw mnie! Nie waż się mnie więcej dotykać! – warknęłam na niego w nagłym przypływie wściekłości. Nie wiem, co bardziej mnie zdenerwowało: czy to, że całował mnie chłop ze wsi, czy to że po raz kolejny poczułam miłość. Przestraszona reakcją swojego ciała i nowo odkrytym uczuciem, zaatakowałam Benedykta stekiem obelg.

– Nigdy więcej się do mnie nie zbliżaj! Brzydzę się tobą! Jesteś wstrętnym, brudnym chłopem, który nie wie, co to mydło! Nie cierpię z tobą spać, bo nigdy nie wiem, jakie robactwo do łóżka przyniesiesz! Ty obleśny wieśniaku!!!

Moja furia opadła. Ale otwarte usta Walczaka i wzrok, wyrażający najwyższy przejaw żalu i poniżenia, dopiero teraz przeobraziły się w gniew. Ubrał się prędko i spojrzawszy w moją stronę wrogim i dzikim wzrokiem, opuścił sypialnię. Podeszłam do okna, aby zobaczyć, czy wyszedł z chaty. Skierował swoje kroki w stronę stodoły i tam znikł.

– Co mi jest? Co mnie napadło? – Oszołomiona swoim wybuchem usiadłam na łóżku i odmówiłam „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Maryjo." Następnie rozpłakałam się. Pożałowałam swoich słów tak mocno, jak jeszcze niczego w życiu.

Beny nie wrócił na noc do domu. Rano obudziły mnie głosy rozmowy – to Anna rozmawiała ze swoi synem.
– Spałeś w szopie?!
– Musiałem krów pilnować, bo mówili wczoraj, że się złodzieje kręcą.
– Ty mi tu złodziejami oczu nie *mydlij*! Słyszałam wczoraj awanturę u was. Czego ona cię do stodoły wygoniła?!
– Już mówiłem, złodzieje chodzą.
Mógł powiedzieć matce prawdę, ale nie chciał. Dlaczego? Przypomniałam sobie wtedy moment, gdy wyznał mi miłość.
– Tylko jej nie męcz za bardzo.
– Tyle robi, co nic! Tylko jej pilnować *trza*!
Chwila ciszy.
– Matko, przynieście mi naboje do strzelby. Tam w skrzyni powinny być.
– Czemu sam nie pójdziesz? Toć tam twoja żona śpi!
– Nie motajcie, tylko dajcie mi te naboje.
– Na rany boskie, po co?! – zapytała, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że jej syn wspomniał o strzelbie i nabojach.
– Idę na niedźwiedzia polować. Ludzie narzekają, że się kręci dookoła zagród, a jaśnie państwo nie interesuje ludzki kłopot.
– Mało tobie, żeś jednego ubił?! O mało żeś nie zginął! I jeszcze karę za to dostałeś, żeś po pańskie sięgnął!
– Nawet włos mi z głowy nie spadł. Zrobię to tak, żeby się nie dowiedzieli. Dajcie mi te naboje, bo mi prędko!
Kobiecina burknęła coś pod nosem, po czym weszła do sypialni.
– Patrzcie ją, już słońce dawno wstało, a ona dalej w łóżku gnije.
– Matko, dajcie jej spokój.
Udałam, że śpię, żeby mi się nie oberwało. Usłyszałam szuranie, a później zamykanie drzwi. Usiadłam i przetarłam oczy. Musiało być dopiero koło szóstej rano! Jak wcześnie wstawali gospodarze tej chaty? O piątej?!
– Syneczku, tylko uważaj – zaczęła biadolić Anna.
– Matko, bądźcie spokojni. Wrócę wieczorem albo jutro rano.
I poszedł „mój chłop" na polowanie. Jakże straszne wydało mi się to wtedy. Przed oczyma wyobraźni widziałam, jak niedźwiedź dopada go i rozrywa na kawałki. Ubrałam się prędko i weszłam do izby. Babcia jeszcze spała, a teściowej nie było. Co mogła robić o tak wczesnej porze?

Zjadłam śniadanie składające się z chleba i masła, popiłam to maślanką i wypiłam napar z rumianku na mdłości. Bardzo dobrze robiły mi zioła, które parzyła dla mnie teściowa. Nie raz chciałam jej za to podziękować, ale za każdym razem surowe spojrzenie jej niebieskich oczu onieśmielało mnie i przypominało o tym, że jestem tutaj nieproszonym gościem. Kilka godzin później Anna dała mi to dobitnie odczuć na własnej skórze.

– Idź do stodoły, weź ziarno i nakarm kury.
To było proste. Ubrałam fartuch, żeby nabrać do niego zboża i poszłam do stodoły. Weszłam i rozejrzałam się. Odkryłam miejsce, w którym spał mój mąż. Wyleżane na sianie gniazdko wskazywało na to, że właśnie tam odpoczywał. Obok na haku zawieszona była jego koszula. Pomyślałam sobie, że jako dobra, wiejska żona powinnam zadbać o to, żeby była uprana i czysta, gdy będzie chciał ją założyć. Po chwili namysłu wzięłam ją do rąk. Pachniała sianem, łąką i tytoniem, a nie zatęchłym potem, jak to sobie wyobrażałam. Przypomniałam sobie, jak wczoraj go zbeształam. Benedykt naprawdę się mył, a ja zasugerowałam mu, że ma pasożyty. Musiałam go jakoś przeprosić.

Odłożyłam koszulę na miejsce, zaczerpnęłam ziaren z worka i przesypałam je do fartuszka. Stado kur dopadło mnie już w stodole. Dopiero teraz zobaczyłam, jak wiele ich jest! Nie mogłam się opędzić, dlatego sypnęłam garść daleko przed siebie w stronę podwórka. Pomogło mi to zyskać trochę przestrzeni. Wyszłam ze stodoły i zobaczyłam Annę przed domem.
– Złap jedną! – rozkazała, gdy skończyłam je karmić.
To już nie było takie proste. Raz po raz pokazywała mi, jak mam to zrobić, ale nie wychodziło mi.
– Nie będzie z ciebie dobrej gospodyni – narzekała na mnie, kręcąc głową z politowaniem. W końcu straciła do mnie cierpliwość. Złapała jasnobrązową kurę i podała mi do rąk.
– A teraz weź ją pod pachę i idź za dom. Tam jest siekiera i pień. Utnij jej głowę i przynieś. Będzie na obiad.

To polecenie wbiło mnie w ziemię. Otworzyłam usta z oburzenia, podparłam sobie bok i odparłam:
– Nigdy tego nie zrobię! – I wypuściłam biedulkę, która najwyraźniej czuła, że coś się święci.
– Chcesz zjeść obiad?! To bierz kurę i idź zabij! Nie dostaniesz jeść, póki sama sobie nie zabijesz i nie ugotujesz! – Podparła sobie boki na znak, że nie ulegnie moim protestom.
W buncie przeciwko takiej niesprawiedliwości, podwinęłam moje kiecki i poszłam za dom. Faktycznie stał tam pień i siekiera, a dookoła były ślady krwi. Zrobiło mi się niedobrze. Wróciłam do wściekłej teściowej.
– Nie zrobię tego. Nie potrafię zabić zwierzęcia, które przed chwilą karmiłam.
– No tak! Panienka ze dwora dostawała pod nos! Ale teraz jesteś chłopką, więc musisz nauczyć się żyć. Inaczej umrzesz, bo nie będziesz potrafiła sama sobie zrobić jedzenia!
Miała rację, ale to było ponad moje siły.

Minęło kilka godzin. Przeszło południe, a ja o pustym brzuchu siedziałam przed domem i modliłam się, żeby On wrócił. Walczakowa była nieugięta. Na pytanie babci, czemu z nimi nie jem, odparła:

– Czas żeby sama zaczęła robić koło siebie. Ma męża! Jak zadba o niego, gdy nas nie będzie?
I tak przesiedziałam prawie cały dzień. Nie zabiłam kury. Teściowa zlitowała się w końcu nade mną: złapała ptaka i poszła za dom. Po chwili wróciła z kurą bez głowy i podała mi ją do ręki.
– Masz, trzeba ją obrać z piórek. W domu jest miska, worek i nóż. Pierza trzeba uprać, żeby było do pierzyny na zimę. – I odeszła gdzieś w kierunku pól za chatą.
Nadszedł wieczór, a ja miałam na kolanach martwą kurę, której powoli wyrywałam piórka, chlipiąc przy tym jak bóbr. Wiedziałam, że nie żyje, ale jakoś tak dziwnie kojarzyłam sobie bezczeszczenie jej ciała z upodleniem, jakie przeżyłam. Byłam jak ta nieszczęsna kura, którą ktoś wyhodował, nauczył przywiązania, a później odciął łeb jednym ciosem, po czym martwą odarł z wszelkiej godności.
Przy tej czynności zastał mnie Benedykt. Wszedł na podwórku, gdy słońce zaszło już za horyzont. Na ramieniu miał zawieszoną strzelbę, a pod pachą niósł coś ciemnego, zwiniętego w rulon. Wtem Anna wybiegła przed dom i dawaj go przytulać i całować.
– Mój syn, mój kochany! Cały i zdrowy! – Cieszyła się, jakby był zmarłym i teraz powstał zza światów.
Mężczyzna spojrzał na mnie surowo.
– Co ona tak beczy nad tą kurą? Coś cię jej zrobili? – Jego wzrok z równie dużą dozą chłodu objął matkę.
– Kurę się bała zabić, tom jej ubiła i dała do obierania. – Zapomniała tylko dodać, że cały dzień nic nie jadłam.
– Zostaw to, matka dokończy za ciebie – rozkazał nam obydwu. – I chodź tutaj.
Byłam posłuszna jak baranek, bo miałam ciężkie wyrzuty sumienia w stosunku do mojego chłopa.
Postawił strzelbę pod ścianą i jednym ruchem rozwinął zawiniątko, które okazało się być skórą, dopiero co ściągniętą z niedźwiedzia. Z trudem powstrzymałam emocje. *„Co to za ludzie co tylko zabijają i odzierają zwierzęta z godności?!"*
– To dla mojej pani żony, żeby jej w zimie nogi nie marzły od zimnej podłogi. – Oznajmił, a ja zrozumiałam, że tutaj na wsi wszystko ma swój sens i uzasadnienie. Trzeba zabijać, żeby jeść i obrywać ze skóry, żeby zabezpieczyć się przed chłodem.
Chciałam mu podziękować, ale jeszcze nie zdążyłam go przeprosić. Nie wyrzekłam więc ani słowa, tylko zakryłam usta dłonią.
– Niewdzięczna… – zaczęła teściowa, ale on jej przerwał.
– Ona jest za delikatna na takie rzeczy. Ale to nie jej wina. Tak się wychowała. Matko... – zatrzymał kolejny jej komentarz – pomóżcie mi to zabrać i powiesić na słońcu.
– Trzeba to będzie uprać – dodała Anna i razem zaczęli taszczyć szatę ogromnego zwierza przez podwórko.

Zabił niedźwiedzia, narażając się na gniew wyżej urodzonych ziemian – którzy mieli pierwszeństwo do dużego zwierza – aby ochronić sąsiadów. Ściągnął z

niego skórę, żebym miała ciepło pod nogami w zimie. Gdzieś tam w środku mojego serca te dwa fakty zasnuły woalem romantyczne marzenia o Paryżu, dając pole innym marzeniom. O prawdziwym mężczyźnie, który ryzykuje życiem i przynosi ukochanej skórę z niedźwiedzia, aby zapewnić jej komfort życia; który pracuje w pocie czoła, aby niczego jej nie zabrakło.

Tego wieczora dojrzałam do tego, aby go przeprosić. Nie wrócił na noc do sypialni, więc ubrałam się i ruszyłam cichutko na palcach do stodoły. Gdy byłam już w połowie drogi, usłyszałam głos kobiecy. Zbliżyłam się i zakradłam od tyłu, aby przez szczeliny między deskami zobaczyć kto o tej porze odwiedza mojego chłopa-męża. Wnętrze rozjaśniało światło świecy zamkniętej w szklanej latarence.
Ku mojemu zgorszeniu, była to kobieta młoda, niebrzydka, z wiankiem jasnych włosów oplecionych dookoła głowy. Przy niej stał Benek, zwrócony do mnie plecami. Ona wspierała się o belkę, do której Beny przywiązywał konia, i obejmowała go rozpalonym wzrokiem. Gdy skończył, stanął z rękoma skrzyżowanymi z tyłu.
– Chodzą słuchy, że w stodole sypiasz zamiast z żoną. Czego ty wziął pohańbioną, co cię nie chce, co? – mówiła zalotnie. – Ja to bym chciała. Zawsze chciała, ale ty nie chciał za żonę mnie pojąć.
– Po coś przyszła? – zabrzmiał chłodno męski głos.
– Pewnie ci w noc poślubną nie dała, tom pomyślała, że może by tak... ja dawała zamiast niej?
„Ale bezczelna!" – pomyślałam sobie. Nie potrafiłam opanować złości i zazdrości, które nagle mnie dopadły. *„Ale jak to?! Ja miałabym być zazdrosna o chłopa ze wsi, z którym nic mnie nie łączyło prócz obowiązku i jałmużny, którą mi ofiarował?!"* Mimowolnie poczułam się dotknięta. Przecież to był mój mąż!
– Niech głupot nie gada, tylko idzie sobie.
– Benedykt taki przystojny jest, pierwszy chłop we wsi. Nie znam lepszego – mruczała, dotykając jego ramion.
– Bzdury gadasz, Jaśka – zaśmiał się.
– A co, może ja niełądna?
– Ładna, tylko że... – spuścił głowę.
– Co, nie staje tobie? Panna hrabianka cię zepsuła?
Benedykt nie reagował. Jaśka rozpięła bluzkę i ukazała mu ogromny biust. Odruchowo pomyślałam sobie, że moje piersi są o wiele mniejsze.
– No, co jest?! Zbabiałeś?
To była chwila, w której miałam się przekonać o wierności mojego męża. I przekonałam się, ale w dziwny sposób. Ściągnął swoje gacie, obrócił Jaśkę na poręczy, podciągnął jej kieckę do góry i wszedł w nią, że aż zapiszczała.
Otworzyłam usta ze zdziwienia. Zrobił to! Rozczarowana chciałam odejść, gdy stało się coś jeszcze. Benedykt zakończył to zbliżenie po jednym tylko pchnięciu, uderzył Jaśkę po tyłku, aż strzeliło, po czym śmiejąc się, ubrał spodnie. Tamta, czerwona ze złości i upokorzenia, jakie ją spotkało, uderzyła go dłonią w twarz, po czym uciekła.

– Zachciało się z żonatym chłopem! Suka jedna! – Splunął siarczyście, po czym zwyczajnie usiadł sobie na sianie i pokiwał głową z politowaniem. Później wyciągnął zwinięty w bibułkę tytoń i zapalił go od świecy. Przymknął oczy i zaczął nucić sobie coś pod nosem. Pomyślałam, że to dobry moment, aby go przeprosić i poprosić, żeby wrócił do sypialni.

Weszłam do stodoły, lecz na początku mnie nie zauważył.

– Dobry wieczór – odważyłam się przywitać.

Poderwał się i prędko zgasił bibułkę. Był zdziwiony, onieśmielony, może trochę zmieszany?

– Dobry. – Bąknął, po czym skrzyżował ramiona na piersi i uniósł głowę ku górze. Byłam tutaj nieproszonym gościem. – Czym mogę panience służyć?

Wtedy zrozumiałam, że moje pełne jadu słowa postawiły między nami bardzo wysoki mur.

– Benedykcie... – zaczęłam, lecz opuściła mnie odwaga. Wyglądał tak groźnie i obco, że miałam ochotę uciec czym prędzej. – Przykro mi, że cię obraziłam. Wróć do domu.

Uśmiechnął się ironicznie i odparł:

– Nie będę panience *wszów* do łóżka znosić. – Usiadł na swoim leżu. – Mnie tutaj całkiem wygodnie. Nie potrzeba waszej łaski, żeby mi dogodzić.

Był bardzo rozgoryczony i wcale się mu nie dziwiłam. Spuściłam głowę i powiedziawszy cicho „przepraszam", opuściłam to miejsce, gdzie byłam całkiem zbędna. Wszystko miedzy nami się zepsuło i nie było już odwrotu. Teściowa mnie nienawidziła, mąż tak samo. Co miałam tu jeszcze do roboty?

I dlatego właśnie następnego dnia skorzystałam z nieobecności męża i teściowej i udałam się w drogę bez powrotu do mojego rodzinnego domu. Miałam nadzieję zyskać tam pomoc lub choćby tymczasowe schronienie. Miałam cichą nadzieję, że może ojciec mi wybaczy, a moja bieda zmiękczy jego serce, albo że moje siostry okażą litość i pomogą mi znaleźć dach nad głową.

Niepewna tego, co przede mną skrywała przyszłość, weszłam na dziedziniec przed dworkiem. Łezka wzruszenia zakręciła mi się w oku. Kwiaty tak pięknie kwitły na klombach, wszystko było takie poukładane, schludne i czyste. Stanęłam pod drzwiami na ganku i zastukałam. Otworzyła mi jakaś nowa służąca, która nie wiedziała, kim jestem. Później nagle zza jej pleców wysunęła się Estera.

– Nie przychodź tutaj! Bo jak ojciec cię z nami zobaczy, to zrobi nam to samo co tobie! Idź! Uciekaj, bo jest za domem, a jak cię zobaczy to...

I zobaczył mnie, zanim Estera skończyła zdanie. W ciągu jednego tygodnia postarzał się i sposępniał, a jego nienawiść do mnie nabrała na sile. Stanął za mną, a chwilę po tym, jak się odwróciłam, szarpnął mną i wyrzucił na podwórko.

– Wynocha stąd! I żebym cię tu więcej nie widział!

– Tato! Przepraszam – biadoliłam.

– Coś ty powiedziała?! TA-TO?!

– Tato, litości! – Uklękłam przed nim, co okazało się największym błędem mojego życia. Wystawiając swoje dziecko na niebezpieczeństwo, usytuowałam mój brzuch na wysokości ciosu, który mi wymierzył. Kopnął mnie dokładnie tam, gdzie w moim łonie rozwijało się nowe życie. Skuliłam się i krzyknęłam z bólu, ale on nie miał litości. Podniósł mnie za ramiona i popchnął tak, że upadłam po raz kolejny. Nie mogłam wstać, obezwładniona bólem brzucha. Wtem kat znalazł sobie nowe narzędzie. Uderzył mnie swoją szpicrutą w plecy.
– Ojcze! Na miłość boską! Przestań! – krzyknęła Estera, gdzieś tuż nad moją głową.
– Wystarczy, zabijesz ją! – To były słowa Joanny, która po raz pierwszy w życiu stanęła w mojej obronie.
– Idźcie do domu! Natychmiast! – rozkazał moim siostrom. Lecz one po raz pierwszy w życiu go nie posłuchały. Pochwyciły go za ramiona i zaczęły ode mnie odciągać.
– Już dosyć! Zostaw ją! – jęczała Joanna.
Kat odsunął się, zaciskając swoje usta z nienawiścią.
– Boże, ona krwawi! – Estera podniosła alarm. – Prędko! Powóz! Zawieziemy ją do doktora! – Przykucnęła przy mnie, aby podtrzymać mi głowę. Wszystko wirowało. Czułam, że dzieje się coś bardzo złego.

Zawieziono mnie do dworku lekarza, gdzie położono w czystej, jasnej izbie. Zażyłam jakieś lekarstwa, po których poczułam się bardzo słabo. Później lekarz i jego pomocnica przez długi czas robili coś między moimi nogami. Zupełnie nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się dzieje. Gdy po wszystkim zaprowadzono mnie do powozu, pan doktor rzekło tylko:
– Musicie jej to powiedzieć. Nikt tego nie zrobi tak, jak siostry.
Uspokojona lekami jechałam wsparta o Esterę, a Joanna podtrzymywała mnie z drugiej strony, bo ciągle się zsuwałam.
Przeniesiono mnie do domu mojego męża, do znanej mi już sypialni. Anna wykazała się największą troskliwością, pomagając mi się umyć i przebrać. Gdy już leżałam w łóżku, moje siostry opuściły mnie, nie zdobywszy się na to, aby wyjawić mi straszną prawdę. Wiedziałam, że lekarz coś robił w moich miejscach intymnych, ale sądziłam, że tylko kontrolnie.
To Walczakowa stanęła przed największym wyzwaniem. Blada usiadła obok mnie na łóżku i rzekła:
– Straciłaś dziecko.
Wraz ze śmiercią mojego dziecka umarła we mnie tamta Wiki, która jeszcze do wczoraj miała nadzieję i szansę na szczęśliwe życie.